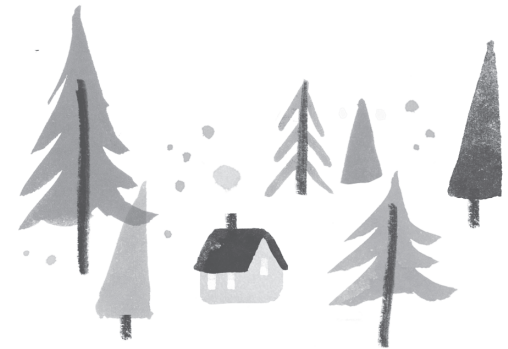


RASMUS
i WŁÓCZĘGA

Astrid Lindgren

RASMUS i WŁÓCZĘGA

Przełożyła
Irena Szuch-Wyszomirska



Nasza Księgarnia

Tytuł oryginału szwedzkiego
Rasmus på luffen
Rabén & Sjögren Bokförlag AB, Stockholm, Sweden



© The Astrid Lindgren Company AB/Astrid Lindgren 1956
All foreign rights are handled by The Astrid Lindgren
Company AB, Sweden, info@astridlindgren.se
For more information about Astrid Lindgren's books, see
www.astridlindgren.com

© Copyright for the Polish edition by
Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1959

Projekt okładki i strony tytułowej *Monika Pollak*

Rasmus w tej książce nie jest wcale tym samym chłopcem, co w książce „Detektyw Blomkvist i Rasmus, rycerz Białej Róży”. Nie jest nawet jego krewnym. To, że mają to samo imię, jest jednym z owych dziwnych przypadków, w które tak bogate jest życie.

Autorka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rasmus siedział jak zwykle wysoko na gałęzi lipy i rozmyślał o rzeczach, które nie powinny być istnieć. Przede wszystkim – kartofle! Tak, kartofle mogły być, ale tylko ugotowane i gdy się dostawało kartofle z sosem na obiad w niedzielę. Lecz gdy rosły bez opamiętania na kartoflisku, a oni musieli je okopywać – wówczas nie powinny istnieć w ogóle. Bez panny Hök również można się było doskonale obyć. Bo to ona mówiła: „Jutro przez cały dzień będziemy okopywać kartofle”. „Będziemy okopywać kartofle” – mówiła, ale nie znaczyło to wcale, że panna Hök miała zamiar w tym dopomóc. O nie – to Rasmus, Gunnar, Duży Peter i inni musieli pracować w pocie czoła na kartoflisku przez cały długi, upalny letni dzień. I patrzeć, jak dzieciaki wiejskie idą się kąpać w strumieniu. Zarozumiałe wiejskie dzieciaki, one także zresztą nie powinny istnieć na świecie!

Rasmus zastanawiał się przez chwilę, czy jest jeszcze coś, co należałoby zlikwidować. W tych rozmyślaniach przeszkodziło mu jednak ciche wołanie z dołu:

– Rasmus! Schowaj się! Jastrząb* idzie.

Gunnar wytknął ostrzegawczo głowę przez drzwi drewnutni, a Rasmus czym prędzej począł złączyć z drzewa. Zsuwał się śpiesznie z gałęzi i gdy panna Hök w chwilę później stanęła przed drewnutnią, już nie było widać Rasmusa wśród zieleni lipy. I całe szczęście, gdyż panna Hök bynajmniej nie uważała, że chłopcy powinni siedzieć na gałęziach drzew jak pisklęta, gdy było tyle pożytecznej pracy do zrobienia.

– Bierzesz chyba tylko drzewo świerkowe, Gunnarze?

Surowym spojrzeniem panna Hök zlustrowała szczapki na rozpałkę, które Gunnar zebrał do koszyka.

– Tak, proszę pani – odpowiedział Gunnar takim właśnie głosem, jakim należało mówić, gdy się odpowiadało panie Hök. Tym szczególnym głosem wychowanka domu dziecka, głosem, którym posługiwano się, odpowiadając przełożonej i księdzu, gdy przyjeżdżał na inspekcję i pytał, czy to nie jest przyjemnie tak pięknie uprzątnąć w ogrodzie, i gdy ktoś z rodziców z wioski przyszedł, aby się dowiedzieć, dlaczego zbito ich chłopca, który biegnąc za którymś z dzieci po podwórku szkolnym, wołał: „Chłopak z przytułku!”. Głos

* Hök znaczy po szwedzku jastrząb.

ten musiał brzmieć uniżenie i spokojnie, gdyż było najzupełniej widoczne, iż tego oczekiwali panna Hök, ksiądz i wszyscy inni.

– Czy nie wiesz, gdzie jest Rasmus? – zapytała panna Hök.

Rasmus trwożnie przycisnął się do gałęzi, na której zawisł, i prosił Boga, by panna Hök poszła sobie jak najprędzej. Nie miał sił wisieć tak dłużej i tylko tego brakowało, żeby mu ramiona odrobinę bardziej zdrętwiały, a osunąłby się powoli i znalazł w polu widzenia panny Hök. Koszuła w niebieskie paski, którą miał na sobie, owa koszuła z domu dziecka, była również z daleka widoczna. Ptaki siedzące na drzewach tak trudno jest zauważyć, gdyż Bóg dał im kolor ochronny – mówiła nauczycielka w szkole. Lecz chłopcom z domu dziecka Bóg nie dał koloru ochronnego i dlatego Rasmus prosił Go z głębi duszy, żeby wyprawił w drogę pannę Hök, zanim on spadnie z gałęzi.

Niedawno panna Hök gniewała się na niego za to, że brudzi się bardziej niż ktokolwiek inny w domu dziecka – przypominał to sobie teraz. Poczekajcie tylko, następnym razem odpowie jej po prostu: „Staram się nabrać koloru ochronnego”.

Powie to oczywiście zupełnie cichutko, w sobie. Takich rzeczy nie mówiło się prosto w oczy, nie mówiło się ich tak, by Jastrząb je słyszał. Miała bowiem bardzo ostre spojrzenie, usta jej były sta-

nowcze i zaciśnięte, a czasami ukazywała się także surowa zmarszczka na czole. Gunnar twierdził, że nawet jej nos miał wygląd surowy. Lecz Rasmus nie podzielał jego zdania. Uważał, że nos Jastrzębia jest naprawdę ładny.

Chociaż teraz, gdy wisiał na drzewie i czuł, jak ramiona mu omdlewają, nie mógł sobie przypomnieć o niej niczego dobrego. Gunnar, który potulnie dokładał drewniek do koszyka, podczas gdy panna Hök stała obok i przyglądała się, nie śmiał podnieść oczu wyżej niż do wysokości jej nosa, niezależnie od tego, czy miał on wygląd surowy, czy nie. Nie widział nic z jej postaci poza sztywno wykrochmalonym fartuchem.

– Czy nie wiesz, gdzie jest Rasmus? – zapytała panna Hök jeszcze raz nader niecierpliwie, ponieważ nie otrzymała odpowiedzi na pierwsze pytanie.

– Widziałem go niedawno przy kurniku – odpowiedział Gunnar.

Była to najczystsza prawda. Pół godziny temu Gunnar i Rasmus szukali jajek w pokrzywach za kurnikiem, gdzie te głupie kury kryły się czasem, by znieść jajko.

Gunnar widział więc istotnie Rasmusa przed chwilą przy kurniku. Gdzie się teraz znajduje, tego, zdaniem Gunnara, najmądrzej będzie nie mówić pannie Hök.

– Jeżeli go zobaczysz, powiedz mu, żeby narwał koszyk pokrzyw – dodała panna Hök i zawróciła na pięcie.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedział Gunnar.

– Słyszałeś, co? – odezwał się, widząc, jak Rasmus złazi z lipy. – Masz narwać kosz pokrzyw.

„Pokrzywy także nie powinny istnieć” – pomyślał Rasmus. Przez całe długie lato trzeba było rwać pokrzywy dla kur – codziennie dostawały gotowaną kaszę z pokrzywami.

– Czy te głupie stworzenia nie mogą sobie same narwać trochę pokrzywy, skoro rośnie im tuż pod nosem?!

– O nie, wyobraź sobie, że nie – odpowiedział Gunnar. – One muszą mieć podane do stołu!

Mówiąc to, skłonił się głęboko przed kurą, która gdacząc z cicha, wolnym krokiem przemaszerowała tuż obok. Rasmus nie był pewien, czy kury należałoby zlikwidować, czy nie, lecz w końcu zdecydował, że powinny istnieć. Inaczej bowiem nie dostawałoby się jajka w niedzielę, a bez tego niedzielnego jajka nie byłoby prawie wiadomo, że jest niedziela. Nie, kury powinny istnieć i najlepiej będzie, jeśli zaraz pójdzie narwać pokrzyw.

Rasmus nie był z pewnością bardziej leniwy od innych dziewięciolatków. Miał tylko naturalną w jego wieku niechęć do wszystkiego, co stawało mu na przeszkodzie we wspinaniu się na drzewa, kąpieli

w strumyku lub też w organizowaniu zbójceckich band z innymi chłopcami i czajenia się za kopcem, gdy któraś z dziewczynek przychodziła po kartofle. Uważał, że tym właśnie należało się zajmować podczas wakacji. Panny Hök nie można jednak było nakłonić, by to zrozumiała, co również było zupełnie naturalne. Dom dziecka w Västerhadze należał do gminy, lecz utrzymywał się częściowo ze sprzedaży jaj i warzyw. Dzieci stanowiły tanią i potrzebną siłę roboczą, a panna Hök z pewnością nie miała nieludzkich wymagań, nawet jeśli Rasmus ze swej strony uważał za nieludzkie to, że musiał przez cały dzień okopywać kartofle. Ale ponieważ, podobnie jak wszystkie inne sieroty, musiał zacząć zarabiać na swe utrzymanie z chwilą, gdy skończy trzynaście lat, konieczne było, by zawczasu nauczył się pracować – to panna Hök rozumiała. Niezupełnie jednak w tym samym stopniu rozumiała, jak dalece jest konieczne, aby również dzieci z domu dziecka mogły się bawić. Lecz nie należało może od niej tego wymagać, gdyż sama nie zdradzała nigdy najmniejszej ochoty do zabawy.

Rasmus rwał posłusznie pokrzywy rosnące za kurnikiem. Przy tej okazji powiedział jednak kuzynom kilka słów prawdy.

– Przebrzydłe leniuchy! W ogóle nie powinnyście istnieć na świecie. Tyle tu rośnie pokrzyw, że

można oszaleć z rozpaczy, ale nie, wam to nie odpowiada! Muszę tu stać jak niewolnik i rwać, i rwać dla was!

Im więcej o tym myślał, tym bardziej czuł się jak niewolnik, co było nader przyjemne. Pani w szkole czytała im w ubiegłym roku książkę o niewolnikach w Ameryce. Gdy pani czytała na głos książki, nie istniało nic przyjemniejszego na świecie, a ta opowieść o niewolnikach była najlepszą ze wszystkich, jakie Rasmus kiedykolwiek poznał.

Ścinał pokrzywy i postękiwał z cicha. Świstał bowiem nad nim bat dozorca niewolników, a za kopcem z lodem leżały psy gotowe rzucić się na niego, gdyby nie dość szybko napełniał koszyk. Teraz zbierał bawełnę, nie pokrzywy. Wielka rękawica, którą mu dano, aby nie poparzył się pokrzywami, stanowiła rekwizyt trochę nieoczekiwany u niewolnika w żarze słońca stanów południowych, na to jednak nie było rady.

Rasmus ścinał i ścinał. Czasem również niewolnikom zdarzają się drobne przyjemności. Za lodownią rośło kilka dużych pokrzyw. Choć Rasmus miał już pełen koszyk, poszedł tam i zerwał je tylko po to, żeby podrażnić psy. Wówczas zobaczył, że coś leży w trocinach przy lodowni. To coś było częściowo przysypane trocinami i dość podobne do

pięciu öre*. Serce Rasmusa zabiło gwałtownie. To nie mogło być pięć öre – takie rzeczy się nie zdarzały! Zdjął ostrożnie rękawicę i wyciągnął rękę po to coś, co leżało w trocinach.

A jednak to było pięć öre! Plantacje bawełny znikły, psy gończe rozwiały się jak dym, a biedny niewolnik stał i aż mu w głowie wirowało ze szczęścia.

Bo czegoż to nie można kupić za pięć öre! Torebkę cukierków albo pięć irysów, albo czekoladkę. Wszystko to było w sklepie na dole we wsi. Mógł tam pobiec podczas przerwy obiadowej – może jutro. Albo też mógł zatrzymać sobie to pięć öre i mieć świadomość, że jest bogaty i że może sobie kupić, co zechce.

Tak, kury powinny istnieć i pokrzywy powinny istnieć, gdyż bez kur i pokrzyw to by się nie zdarzyło. Żałował teraz, że przed chwilą tak surowo przemawiał do kur. Nie wyglądało co prawda na to, że zbytnio się tym przejmują, drepcząc za ogrodzeniem, chciał jednak, aby wiedziały, że właściwie nic nie miał przeciwko nim.

– Tak, tak, powinnyście istnieć – mówił, podchodząc do drzwiczek zamykających ogrodzenie z siatki, za którym spacerowały kury. – I będę dla was rwał pokrzywy codziennie...

* Pięć öre – drobna moneta szwedzka.

W tej samej chwili zdarzył się inny cud. Wzrok jego padł na nowy skarb. Wewnątrz ogrodzenia, tuż u nóg gdaczącej leghornki*, leżała muszelka. Pośród kurzego łajna leżała sobie śliczna, biała muszelka w małe, brązowe kropeczki.

– O! – zawołał Rasmus. – O!

Pchnął szybko drzwiczki i nie zwracając uwagi na kury, które gdacząc z przerażenia, pierzchały na wszystkie strony, rzucił się i podniósł muszelkę.

Poczuł tak wielkie szczęście, że musiał się nim z kimś podzielić. Musiał pójść opowiedzieć to wszystko Gunnarowi, Gunnarowi, który był z nim przy kurniku zaledwie przed godziną i który nie znalazł ani muszelki, ani pięciu öre. Biedny Gunnar! Rasmus zastanawiał się. Być może ani muszelki, ani pięciu öre nie było tam jeszcze przed godziną. Może znalazły się tam przez jakieś czary właśnie wtedy, gdy zaczął rwać pokrzywy. Może to był jakiś czarodziejski dzień dla niego, skoro zdarzały się same dziwy.

Najlepiej było spytać Gunnara, co o tym sądzi.

Rasmus puścił się pędem, lecz zatrzymał się nagle, gdy sobie przypomniał kosz z pokrzywami. Wrócił do lodowni, po czym z koszem w jednym ręku, i mocno ściskając muszelkę i pięć öre w drugim, pobiegł szybko, by odszukać Gunnara.

* Leghorn – rasa kur.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

05-075 Warszawa-Wesoła, ul. Apteczna 6

e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

tel. 22 643 93 89

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl

www.nk.com.pl

Książkę wydrukowano na papierze

Creamy 70 g/m² wol. 2,0.

Redaktor prowadząca **Anna Garbal**

Redakcja **Małgorzata Grudnik-Zwolińska**

Redakcja techniczna **Joanna Piotrowska**

Korekta **Anna Matysiak**

DTP **Mariusz Brusiewicz**

ISBN 978-83-10-13602-2

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2021 r.

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań